

sobota, 25.04.2020

ZAMYŚLENIA NIEDZIELNE, (26.04.2020).

Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twojego przyjścia w chwale – w czasie każdej Eucharystii wyznajemy tymi słowami naszą wiarę w śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Mówimy te słowa razem, ale różnie. Czasem wymawiamy je z pełną świadomością, chyba częściej „z rozpędu”, mechanicznie. Śmierć i zmartwychwstanie Jezusa stoją w tych świętych dniach bardziej niż kiedykolwiek w centrum Mszy Świętej. Smutek Wielkiego Piątku i radość Wielkiej Nocy tworzą dramatyczną, pełną napięcie całość. Poruszamy się między skrzepowaniem i uwolnieniem. Świętujemy uroczyste tajemnice naszej wiary, ale często wkradają się też wątpliwości.

Jak można i trzeba to wszystko rozumieć, zwłaszcza w naszym stuleciu, w którym niemal wszystko się kwestionuje? Dlaczego Jezus musiał umrzeć na krzyżu? Czy On naprawdę zmartwychwstał? A jeśli tak, to jakie może mieć to dla nas dziś znaczenie.

Nie jesteśmy sami z tymi pytaniami i wątpliwościami. Dopiero co słyszeliśmy Ewangelię o uczniach idących do Emaus. Są jeszcze przepełnieni tym, co ostatnio stało się w Jerozolimie. Jezus, który otworzył przed nimi zupełnie nową rzeczywistość, z którym zaczęli nowe życie, w którym pokładali całą nadzieję, nagle, niespodziewanie umarł. Ba, nie tylko po prostu zwyczajnie umarł, ale zginął okrutną, haniebną śmiercią jako przestępca, odrzucony przez naród i osądzony przez jego przywódców. Ich nadzieja legła w gruzach. To, na co postavili, okazało się złudzeniem. Czy po takiej śmierci to, co Jezus głosił, ma jeszcze jakiś sens? Czy to nie było zwykłą mrzonką, rojeniami marzyciela? Po co w ogóle było to wszystko?

Możemy się łatwo domyślić, z jak przybitą duszą szli ci uczniowie, których imion nie znamy. Z psychologicznego punktu widzenia istnym skarbem był dla nich nieznamy, który się do nich przyłączył i przed którym mogli się wyżalić, gdy on słuchał – długo i cierpliwie. A potem okazało się, że on zna odpowiedź na wszystkie te pytania, wobec których oni byli bezradni, całkowicie bezradni – tak bezradni, jak tylko człowiek być może. Okazało się, że potrafi im towarzyszyć nie tylko w drodze fizycznej, ale też w drodze wiary – o wiele trudniejszej. Ukazuje im coś, o czym nie mieli zielonego pojęcia: cały sens historii zbawienia, dziejów spotkań Boga z człowiekiem; tej historii, w której Jezus nie był przypadkowym epizodem, ale samym jej centrum. O tym zresztą nikt nie miał pojęcia, a oto oni dowiadują się o tym jako pierwsi w świecie. Nie ma się co dziwić, że później powiedzą: Czyż serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał? Bo oto odradza się w nich nadzieja; jeszcze nie ma ona konkretnego kształtu, ale już ją widać na horyzoncie.

Ale to jeszcze nie koniec tej historii. Kiedy wędrowcy przybywają do Emaus, zapraszają współtowarzysza podróży, by im towarzyszył także w domu. Tam, gdy obcy łamie chleb, uczniowie natychmiast rozpoznają w nim Jezusa – bo to był gest tak dla Niego charakterystyczny. A więc On nie pozostawił ich samymi z ich niezrozumieniem i rozczarowaniem. On żyje, a więc nic z tego, co się zdarzyło, nie było daremne i bezsensowne. I ich nadzieja także nie była daremna. Nic się nie skończyło – przeciwnie, wszystko zaczyna się od nowa, i to w sposób, jakiego nikt nie mógł przewidzieć. Z taką wiedzą nie mogli ani spać spokojnie w gospodzie, ani nawet pozostać sami – chyba się więc nie dziwimy, że mimo zmęczenia podróżą natychmiast ruszyli z powrotem do Jerozolimy, aby o tym wszystkim opowiedzieć innym uczniom Jezusa, podobnie jak oni załamany i zniechęcony. Aby w nich wskrzesić umarłą już nadzieję.

Spróbujmy jeszcze połączyć dwa zdania: Oczy ich były jakby na uwięzi i A myśmy się spodziewali... Dlaczego ich oczy były jakby na uwięzi, tak że nie mogli rozpoznać Jezusa? Może właśnie dlatego, że się spodziewali... Wyobrazili sobie jakąś określoną przyszłość – na swoją

przekracza. Dopóki człowiek jest całkowicie skoncentrowany na sobie, na swoich wizjach świata, swoich wyobrażeniach i zamierzeniach, dopóty Bożych dzieł nie rozumie, a Boga nie widzi. Musi się otworzyć na Bożą „mowę”, musi zacząć patrzeć choćby odrobinę „Bożymi oczami”. Tak właśnie się stało z tymi dwoma wędrowcami: pod wpływem słów Jezusa zaczęli się stopniowo otwierać na nową rzeczywistość, na Boże działanie, a gest Jezusa przy stole dopełnił tego zbawienego procesu. Wtedy otworzyły się im oczy...

Warto sobie przypomnieć tę wspaniałą perykopę biblijną, gdy przygniatają nas te uczucia, które przygniatały tych dwóch uczniów: niezrozumienia, załamania, beznadziei. Bo wtedy z nami też idzie Jezus, tak jak siedł z nimi – i tak samo na ogół nie rozpoznany, przynajmniej na początku (choć ten początek może nieraz trwać długo...). Jezus towarzyszy nam zawsze na drodze naszego życia, tak jak towarzyszył idącym do Emaus. Często nie widzimy i nie czujemy Jego obecności, ale ona jest, ona naprawdę jest! On – i zresztą tylko On – ma moc wskresić w nas gasnącego ducha, umierającą nadzieję. I na pewno nie zostawi nas w sferze mroku, gdzie jesteśmy szczególnie narażeni na ataki złego ducha. A gdzie jest On, tam zawsze jest możliwy nowy początek, tam zawsze możliwe jest z-martwych-wstanie, bo przecież On to pokazał swoim życiem. Gdzie jest On – i tylko tam, gdzie jest On – tam można odnaleźć sens życia, gdyż On jest zwornikiem wszystkiego; bez Niego wszystko się rozsypuje i traci sens, wszystko staje się niezrozumiałe tak jak dla uczniów z Emaus. Jezus wszystkim nam oferuje nową nadzieję, przed nami wszystkimi otwiera nową przyszłość. Dlatego możemy z pełnym przekonaniem mówić: Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twojego przyjścia w chwale.

Pracownik redakcji kwartalnika „Homo Dei” i wydawnictwa Homo Dei – Kraków, o. Janusz Serafin CSsR